



Pełnia



Andrzej Gumulak



Noc nad Firwood zakłócił warkot helikoptera. Słup światła padający z reflektora umieszczonego pod maszyną ślizgał się po leśnych zakamarkach. Inspektor Blade Horn manipulował dżojstikiem, przez wystający z policyjnego kasku mikrofon wydawał jednocześnie rozkazy pilotowi, jednocześnie obserwując teren. „Zostało do sprawdzenia jeszcze z pięćdziesiąt akrów” - pomyślał. Nie potrafi wytłumaczyć, dlaczego uparła się, żeby syna Klary szukać w Firwood. Miał przeczucie, które go rzadko zawodziło...

- Skręć w lewo – rzucił do aspiranta Colina Shue. – Wild Rose to ostatnia nadzieja. Przyjrzyjmy się tej polanie.

Shue skręcił ster. Snop światła powędrował za maszyną, rozjaśniając czubki sosen. Wzrok Horna przedzierał się przez księżycową poświatę, wyprzedzając ruch dżojstika. Szukała czegokolwiek, co nie byłoby drzewem, krzakiem czy śmieciem zostawionym przez turystów.

- Ale świeci – nagle usłyszał w słuchawkach głos aspiranta który wpatrywał się w ogromną tarczę księżyca.

- Pełnia – uciał. Skupiony na obserwacji terenu nie miał ochoty wdawać się w rozmowę. – Patrz, tam coś jest! – krzyknął, wskazując palcem widoczny z daleka jasny punkt w zachodniej części polany. Wyraźnie odbijał światło. – Ładujemy! – rozkazał.

Inspektor Horn kilka razy w karierze przetrząsał już Firwood, szukając turystów, ale teraz sprawy miały się inaczej. Zanim z aspirantem Shue wsiadł do helikoptera, pisał półroczne sprawozdanie. Pochłonęła go robota i nawet nie wiedział, która godzina. Dopiero, gdy na biurku odezwał się telefon, spojrzął na zegarek. Była druga w nocy.

- Blake? – ciarki przeszły mu po plecach. – Blake?

- Witaj Klaro – zrobiło mu się gorąco. – Co się stało?

- Patricka nie ma, wyszedł na spacer i do tej pory nie wrócił! – w słuchawce słyszał zdenerwowany głos. – Nie wiem, co robić! Pomóż mi.

- Szukałaś u kolegów? – zachowywał spokój, ale wszystko, co dotyczyło Klary, nawet po osiemnastu latach do dnia, w którym rzuciła go dla Roberta Windengraffa, budziło emocje. Chrząknął.

- Wszędzie byłam, do wszystkich dzwoniłam... - mówiła przez łyzy.

- Nikt go nie widział. Nikt noc nie słyszał...

- Natychmiast rozpoczynamy poszukiwania – obiecał.

- Dziękuję - ściszyła głos. – Dzwon do mnie, proszę.

- Będziemy w kontakcie.

- Ale wiesz, on nie wziął lekarstw – szepnęła. – A dziś jest pełnia...Ratuj Patricka – odłożyła słuchawkę.

Zaparkowany za posterunkiem śmigłowiec w kilka sekund był gotowy do lotu. Pilot, aspirant Colin Shue, czekał, aż szef zatrześnie drzwi kabiny, żeby poderwać maszynę z ziemi.

Najpierw sprawdzili brzegi stawu i rzeki, potem przelecieli nad polami w oku miasteczka, najwięcej czasu zajęło im przeszukiwanie lasu. Firewood, olbrzymi

obszar pełen dzikiej zwierzyny, kilkusetnych drzew i niezbadanych skalnych zakamarków, rozciągał się na wschód od Woodstone. Policjanci badali każdą milę puszczy. Nie trafiwszy na nic, co by ich zainteresowało, Horn przypomniał sobie o Wild Rose. „Pewnie tam go znajdziemy” - pomyślał.

Pięć minut później na tyle zbliżyli się do polany, że widoczny z daleka jasny punkt stał się bardziej wyraźny i można było rozpoznać, co to jest. Horn nie miał wątpliwości.

- cholera – wycedził. Tylko czarne myśli przychodziły mu do głowy. – Obym się mylił.

Aspirant Shue jeszcze dobrze nie wylądował gdy Horn rozsunął drzwi helikoptera i wyskoczył na trawę. „To nie może się stać! Klara tego nie przeżyje” - „myślał, biegnąc wzdłuż światła reflektora.

Pochylił się nad nagim zakrwawionym ciałem. Trzema placami dotknął szyi chłopaka. Wstrzymał oddech.

- Żyje krzyknął. – Colin! Nosze!

Nawet nie zauważył, jak okrągła tarcza księżyca schowała się za chmurami.

School bus zatrzymał się na rogu Aspen Street i Sun Squage. Virginia Horn miała do domu jeszcze pięć minut piechotą. Szła jednak wolniej niż zwykle, nie zwracając uwagi, że wrześnie wiatr, rozwiewa długie blond włosy. W głowie wciąż słyszała plotki, którymi od rana żyła szkoła, i chociaż powtarzało się w nich jej nazwisko, nie miał pojęcia o jakimkolwiek zajściu w Firwood.

Przechodząc na ruga stronę Aspen Street odtwarzał w pamięci wydarzenia z ostatnich godzin. Wstało o siódmej. Zdziwiła się ze drzwi do sypialni rodziców są zamknięte. O tej porze szykowali się i robili sporo zamieszania. Ojciec biegał po piętrze, szukając kolejnych części garderoby, potem prasował koszule, narzekając na żelasko, czyścił mundur i buty, twierdząc, że z roku na rok pasty są coraz gorsze, a matka wykrzykując z dołu, przekonywała go, że niema racji. Virgi zeszła na parter. W kuchni bezszelestnie krzątała się mama.

- Ciiii. Tata cała noc pracował, odsypia, bądź cicho Virginio – Judy Horn uśmiechnęła się do córki, która za mocno zamknęła lodówkę.

- Coś się stało?

- Nie wiem – postawiła przed dziewczyną płatki z mlekiem.

- Spałam, jak przyszedł. Powiedział, że coś wróciło, nie wiem. A może mi się śniło... - wpiła resztę kawy. – Złożył pod adresem Windengraffa... -

wzruszyła ramionami. – Później wyciągnę od taty więcej, teraz się spieszę.

Wcześniej w tym roku przyszła jesień. Mam ze stu pacjentów – sprawdzała, czy wszystko, co potrzebne ma w torebce. – Nie spóźnij się do szkoły – rzuciła szeptem z holu.

Virgi dokończyła śniadanie i ruszyła na przystanek. W autobusie, tak jak od siedmiu lat, zajęła miejsce obok śniadej Sally Marshall.

- Słyszałaś o Patricku? – Sally szeptem powitała Virgi.

- Co? Nic nie wiem.

- Całe Woodstone o tym gada, a ty byś nic nie wiedziała?
- Naprawdę o niczym nie słyszałam – zapewniała Virgi.
- Nie wieże ci – Sally nie ustępowała. – Twój ojciec jest gliną. Na pewno przy śniadaniu puścił parę z gęby.
- Spał... - Słowa przyjaciółki zaniepokoiły Virginie. – Ale, o co chodzi? – czuła bicie serca. Wieczorem nie widział się z Patrickiem...
- Policja znalazła w Firwood twojego przystojnego sąsiada – uśmiechnęła się znacząco. – Półżywego przewieziono do szpitala. Musisz coś wiedzieć. Windergraffów masz przez płot...
- Rodzice z nimi się nieprzyjaźnią – Virginia przekonywała przyjaciółkę, ukrywając zdenerwowanie. – Oni mieszkają tu od niedawna. Starsi ich znają, ale tylko tyle... - skłamała.
Virgi śniła o jasnobrązowych oczach sąsiada, ale nikomu nie pisnęła słowa... A gdy pewnego sierpniowego popołudnia wyszła z psem i spotkała Patricka, była w siódmym niebie. Doszli do rzeki. Spacer się nie udał, bo Oscar cały czas cały czas czekał na chłopaka. Następnym razem labrador był grzeczniejszy...
Na przystanku dosiadło się kilkoro uczniów i Sally Marshall wymieniła z nimi najświeższe plotki, zostawiając w spokoju Virginie. W szkole huczało jak w ulu. Każdy, komu natura dała wyobraźnię, popisывał się własną wersją wydarzeń. Ktoś słyszał wycie wilka, ktoś na farmie Smithów widział krowę pokąsana przez dzikie zwierze...
- Krew nie była, Patricka! – piskliwy głos Jane Littlebell, której matka, pielęgniarka w szpitalu, widziała poranionego siedemnastolatka, przerwał opowieści innych. Jane wzięła głęboki oddech. – Badają czy mogłaby być... Ciekawe? Był cały we krwi...
„Wstrętne Littlebell – pomyślała Virginia, próbując przekręcić klucz w zamku. Drzwi były otwarte. Przestraszyła się o tej porze rzadko ktoś przebywał w domu... - Może...?” – odgoniła złą myśl, Woodstone miało opinie spokojnego miasteczka... Delikatnie nacisnęła klamkę, uchyliła drzwi i zamarła. Matka stała na piętze wpatrzona w otwór w suficie, przez który wchodziło się na strych.
- Złaz! – uderzała w podłogę kijem od szczotki. – Złaz do cholery! Ze strychu, oprócz przesuwanych przedmiotów było słycać przeklinającego jak szewc ojca. Judy Horn uśmiechnęła się do córki.
- Nie poszedł do pracy... Chciał, żebym wróciła do domu... Blake, złaz! – znów krzyknęła w sufit. – Jest już Virginia.
- No i dobrze – Horn wychylił się ze strychu. – Zaraz porozmawiamy – spojrzał na córkę. Twarz miał czerwoną jak pomidor. – Znajdę i zejdem! – wrzeszczał. – Idźcie do kuchni! – rozkazał.
Po kwadransie pojawił się zakurzony, zadowolony i z inkrustowanym pudełkiem w kształcie strzelby, które wyglądało na dwieście lat.
- Teraz jesteśmy bezpieczni – usiadł przy stole. – A ciebie, Virginio, proszę żebyś trzymała się z dala od domu Windengraffów, zwłaszcza od Patricka. Jak

zobaczę was razem , podejmę radykalne kroki – Hron położył dłoń na pudełku.

-Nie pozwolę, żeby ta historia się ciągnęła!

Virgi zaniemówiła ze zadziwienia i wyszła z kuchni. „Ojciec oszalał? Świat zwariował? – myślała w drodze do pokoju. – Patrick wróci ze szpitala i wszystko się wyjaśni” – spojrzała na dom vis-a-vis i okno, w którym co wieczór pojawiał się Patrick. Nieruchoma firanka i panująca w mieszkaniu ciemność nie zapowiadały niczego dobrego...

Idziesz polować? - z wymownym uśmiechem Judy Horn następnego ranka zapytała męża. Z inkrustowanym pudełkiem pod pachą inspektor zignorował uwagę i krzyknął: - Miłego dna, Virginio. Mama ma dyżur. Wróć szybko ze szkoły i nigdzie nie wychodź. Obiecałaś! Sadze, że, mogę na tobie polegać! Zmrok zapadała coraz wcześniej. W domu Hornów panowała cisza. Virgi po ciemku siedział w pokoju, nie odrywając oczu od narożnego okna sąsiedniego budynku. W szkole Jane Littlebell mówiła ze Patricka popołudniu wypuszczają, ze szpitala. „Powinien być już w domu “ - denerwowała się.

Co wieczór pojawiała się w oknie. Virgi szła wówczas pod płot, przy którym na nią czekał. Nie rozumiała, dlaczego wciąż uśmiecha się do niego, ale wiedziała, że lubi patrzeć w jasnobrązowe oczy iskrzące w blasku księżyca. Bywało, że spacerowali po Aspen Street.

- Fajnie, że mama zdecydowała się tu wrócić – zaczął kiedyś Patrick. –

Wreszcie wyjaśnimy rodzinne sprawy – dodał tajemniczo.

Virginia z zadartą głową stała naprzeciwko Patricka.

- Jakie sprawy? - zainteresowała się.

- Niewiele wiem – ściszył głos. – Ojciec, przed moim urodzeniem, w niewyjaśnionych okolicznościach zagina w Woodstone. Matka twierdzi, że przepadł w Firwood...Dlatego wyjechaliśmy – zmrużył oczy, wpatrując się w niemal idealnie okrągła tarcze księżyca. – Niedługo pełnia – mocno przytulił Virgi. Słyszała bicie jego serca i była szczęśliwa. Teraz wypatrywała chłopaka, za którym tęskniła...

Zrobiło się późno. Założyła piżamę i wyjrzała jeszcze przez okno, licząc, że zobaczy Patricka. „ Ojciec wrócił – kątem oka dostrzegła światła samochodu. Auto zaparkowano jednak przed domem Windengraffów. Matka Patricka podbiegła do Blake Horna i rzuciła mu się na szyję.

- Dzięki ci, Blake – Virginia słyszała każde słowo. – Jesteś kochany, zawsze można na ciebie liczyć. Patrickowi nic nie jest.

- Musze to wreszcie zakończyć – ojciec przytulił sąsiadkę. – Niemożna ciągnąć tego w nieskończoność – schowana za firanką Virgi czuła pulsującą krew w skroniach.- Przygotowałem się – kontynuował inspektor. – Wezwałem speców...Ze strychu ściągnąłem wszystko, co trzeba...Zrobię to lepiej niż poprzednio...

- nie skrzywdź Patricka! – kobieta mówiła przez łyzy. – Może jest inny sposób, żeby to załatwić?

- nie sadzę – zimno odpowiedział Horn. – Nie mam wyjścia. Patrick to brakujące ogniwo...A gdzie on jest?

- Wysłałam go do Judy Grass w Silencetown, pamiętasz ja? – głos Klary zadrżał. – Nie chciałam, żeby tu był. W miasteczku opowiadają okropne rzeczy...A moje dziecko niczemu nie jest winne – matka Patricka znów płakała. – Czy to jego wina, że urodził się podczas pełni?

Horn ponownie przytulił Klare, ucałował w czoło i wsiadła do samochodu. Virginia zamknęła okno.

- Straszne – szepnęła do siebie. – Ojciec chce zabić Patricka – twarz schowała w dłoniach i rzuciła się na łóżko. – Stara strzelbą? – zmarszczyła czoło. – Dziwne. Na policji mają nowoczesny sprzęt... - nie rozumiem. – Musze coś zrobić. Tylko, co?

Chodziła po pokoju i obmyślała plan. „Gdzie jest Silencetown?

- odpaliła komputer. – Dziwne, że matka Patricka się poddała”

- zastanawiała się, wpisując w wyszukiwarce „Silencetown”.

- O kurczę! To prawie trzysta mil od nas! – powiedział za głośno i zaraz pożałowała. Ciężkie kroki inspektora Horna zbliżały się do jej pokoju. Wyłączyła komputer i wskoczyła pod kołdrę. W tym samym momencie co zgasł monitor, otworzyła się drzwi.. „Fart” - pomyślała.

- Nie śpisz? – zapytał ojciec.

Zacisnęła powieki. Czuła coraz większy strach. To, o czym myślała przerażało ją...Patrick kontra ojciec? Jesteśmy bez szans...”.

Blake Horn podszedł do okna, w domu Windengraffów pogaszone były już wszystkie światła, odsunął firanek.

- Wiem, że mnie słyszysz, córciu – odezwał się przyjaźnie. – Robię to dla naszego, twojego dobra – pochyliła się nad Virgi i pogłaskał ją po jasnych włosach. – Będzie dobrze, obiecuję – poprawił kołdrę. – Uważaj na siebie moja, niebieskooka księżniczko.

„Będzie dobrze – przedrzeźniała w myślach ojca, gdy już opuścił pokój. – Obiecuję! – kołdrę zarzuciła na głowę. Zastanawiała się, co powinna zrobić. – Ostrzec Patricka. Ale jak? Nie odbiera komórki. Nie odpisuje na esy! Mam pojechać, do Silencetown? Gdzie w tym mieście znajdę jakąś Judy Grass? – bezsilność ją denerwowała, a teraz, gdy chłopakowi, na którym zależało jej najbardziej na świecie, groziła śmierć, nie miała pojęcia, jak go uratować. – Koszmar!” – rozmyślała jeszcze chwile, aż zasnęła. Na twarz Virgi padały promienie wychodzącego z nowiu księżyca...

Telefon komórkowy cały czas trzymała w kieszeni. Czekwała na esemesa od Patricka. Od wydarzeń w Firwood minęły trzy tygodnie, a chłopak nie dawał znaku życia. Virginia obawiała się, że już nigdy nie będzie miała okazji spojrzeć w jego jasnobrażowe oczy...

W domu Hornów codziennie mówiło się o tajemniczym potworze. Gdy zbliżała się Virginia, rodzice i ich trzech gości, których dziewczyna widziała po raz

pierwszy w życiu, zmieniali tematy rozmowy. Niewiele rozumiała z przypadkowo usłyszanych zdań, ale wysiliła spryt, żeby kawałki posklejać w logiczną całość. Przerazającą całość!

Opracowali szczegółowy plan, szykowali się tylko do ataku i tylko czekali na Patricka i pełnię. Jedno w tym nie pasowało Virgi – w rozmowach uczestniczyła też Klara Windengraff. Wyglądało, że sąsiadka świetnie się dogaduje z trzema nieznanymi facetami, a oni ze zrozumieniem przyjmowali to, co ona mówiła.

- Proszę nie zrobić krzywdy Patrickowi - tymi słowami kończyła każdą wypowiedź.

- Będziemy uważać – ojciec obiecywała Klarze, ale Virgi nie wierzyła w to co mówił, zwłaszcza że wciąż słyszała słowa: potwór, zabić...

Ruda Jane Littlebell też wciąż nazywała Patricka „potworem”.

- Niema racji? – stawiała się, gdy Virgi prosiła żeby nie opowiadała bzdur. – Całe Woodston tak mów – krzyczała piskliwie. – Jego ojciec był wilkołakiem, wszyscy to wiedza, żadna tajemnica.

- Jasne – Virginia zacisnęła pięści w kieszeniach zakietu. – Masz szesnaście lat i wierzysz w bajki? We wróżki i wampiry? Rozmawiasz z krasnoludkami? To one opowiadają ten niesamowite historie?

- Takaś mądra? – Littlebell chwyciła się pod boki i przymknęła zielone oczy. – To poco twój ojciec wezwał do miasteczka tych dziwacznych facetów? Co? No, po co? To łowcy wilkołaków, nie wiedziałaś?

- a ty skąd wiesz? – Virgi usiłowała zachować zimną krew.

- Nie rznij głupa, please! - z drwiącym uśmiechem Jane rozejrzała się, szukając wsparcia wśród kolegów. Nikt jednak się nie odezwał. – Kwaterują po lasem u starej Hagens. To przypadek?

- Hagens mieszka sama i ma wielki dom. Niema nic w tym dziwnego, ze wynajmuje pokoje.

- Hagens otworzyła hotel? Ona jest stuknięta! To czarownica.

- Nooo! – Virgi splotła ręce na piersiach. – A ty? Nimfa błotną?

- Tak? – Littlebell wyciągnęła przed siebie rękę z wyprostowanym palcem wycelowanym w środek czoła, Virgi Horn. – A to, że oni, co noc Ida do Firwood ze strzelbami i wracają nad ranem, to nic? To nie dziwne?

Przygotowują się do polowania na bardzo grubego zwierza...

Virginia odwróciła się napięcie. „ Rozkwasiałabym jej ten piegowaty nos, przynajmniej by go więcej nie zadzierała – jeszcze chwila, a Virgi puściłyby nerwy. W sercu czuła niepokój i bezsilność.

- ta nasza Horn zupełnie zwariowała – piskliwy głosik Littlebell przekonywał kolegów. – Świata po za Windengraffem nie widzi – oburzyła się. – A to na niego będą polowali ludzie od Hagens. Miłość jest jednak ślepa – głos Littlebell zamienił się z świdrujący śmiech.

„ Kiedyś pożałuje...” – Virgi dłoni zakryła uszy.

Wróciła do domu u smutna. Sprawdziła esemesy, nie przyszedł nowy, w skrzynce e-mailowej też nie było wiadomości od Patricka. „ Dlaczego się nie odzywa” –

Stęskniony wzrok skierowała na narożnie okno. -Weź się w garść, Virginio. Opracuj plan ratunkowy”.

Pociąg z Silencetawn wyjechał na peron Woodston Station o dwudziestej pięćdziesiąt osiem. Wsiadło kilka osób. Virginia szybko dostrzegła sylwetkę wysokiego chłopaka. „Jest” – ucieszyła się.

Objuczona dwoma plecakami, w wełnianej czapce, pod która schowała swoje gęste, blond włosy, w bojówkach, nieprzemakalnej kurtce i butach na grubej podeszwie wyglądała jak turystka. Nieprzewidziana jednak, że pierwsze dni października blenda ciepłe. Poprawiła ciemne okulary – Niechciała, żeby ktokolwiek ja rozpoznał – i ruszyła w stronę Patricka. Chłopak z torbą podróżną rozglądał się, jakby szukał kogoś, kto miałby wyjść po niego na dworzec. Virgi, wiedziała, że nikt nie przyjdzie.

Stanęła kilka kroków za Patrickiem.

- Hej, to ja!

Chłopak odwrócił się i spojrzał na dziwnie, jak na ta pogodę, ubrana dziewczynę.

- Patrick, to ja, Virginia!

Podszedł do niej.

- Aleś się przebrała – jasnobrązowe oczy zaiskrzyły szczęściem. – Nie poznałam cię – uśmiechną się. – Tęskniłem, bardzo tęskniłem – powiedział, całując Virgi w usta.

Dziewczyna odwzajemniał pocałunek.

- To potem – zaczęła poważnie. – Jesteś w niebezpieczeństwie. Musisz mi zaufać. Niema czasu na tłumaczenie – wyrzucała z siebie słowa. – Sally Marshall pewnie przyprowadziła już dla ciebie rower.

Patrick nie rozumiał, o co chodzi, podejrzewał nawet, że Virginia zwariowała, ale wewnętrzny głos nakazywał poddanie się rozkazom dziewczyny.

W Silencetown zastanawiał się nad wydarzeniami ostatniego tygodnia, nad obawami matki i odcięciu go od znajomych. Do konstruktywnych wniosków, nie doszedł, więc wszelkie wątpliwości postanowił wyjaśnić w domu. Dopiero dwa dni temu uruchomił komputer tej kobiety z Silencetown i wysłał e-maila do Virgi...

- Jest rower – głos Virginii sprowadził go do Woodstone. – Mój stoi dalej. Tu są dla ciebie ciuchy – z plecaka wyjęła żółty sztormiak i czapkę z daszkiem.

Patrick bez zachwyty spojrzał na ubrania. – To ma być praktyczne, nie ładne – zaśmiała się. – Za to masz rower piękny – wskazał srebrne kwiatki na różowej ramie. – Holenderski!

Wirginia ruszyła wzdłuż First Avenue.

- Dokąd jedziemy?! – Patrick zdziwiła się, bo oddalali się od domu.

- Najpierw do staraj Hagens! – Przekrzykiwała uliczny ruch. – Tam spróbuje ci, co nieco wyjaśnić! – spojrzała na niebo, księżyc świecił jak reflektor na stadionie piłkarskim. – Pełnia – szepnęła do siebie.

Po półgodziny intensywnego pedałowania zbliżyli się do domu ze spadzistym dachem, który rzucała na łąkę nieprzyjemny cień. Wybrała miejsce, z którego mogli obserwować obejście starej Agens.

- Położymy się na nasypie – Virgi zsiadła z roweru. – To świetny punkt obserwacyjny, wczoraj sprawdzałam – pod szczytem grobli rozłożyła dwie, karimaty. – Musimy wiedzieć, w która stronę bujda faceci mieszkający u Hagensowej.

- Jacy faceci? – Patrick położył się obok Wirginii. – Możesz mi coś wyjaśnić? Cokolwiek?

- Wczoraj pół nocy siedziałam w naszym schowku na szczotki, żeby słyszeć, co ci ludzie knują.

- Knują? Przeciwko komu?

- Tobie.

- Co? – dziwił się. – A oni mnie znają?

- Sporo o tobie wiedzą...

- Dlaczego knuli u was w domu?

- Mój ojciec jest w to zamieszany i twoja matka.

- Mama! niemożliwe! – krzyknęła i pomyślała: „Wariatka”.

- Cicho! – dłonią zakryła Patrickowi usta. – Usłyszą nas i plan diabli wezmą.

- Chrzanie plan – Patrick wstał. – Jestem zmęczony i głodny jak wilk. Nie mam ochoty brać udziału w tym szaleństwie. Wracam do domu.

- Nie! – chwyciła go za rękę i ściągnęła na karimatę. – Nie zmarnujesz mojego wysiłku. Od siedzenia w schowku na werandzie tak mi tyłek zdrętwiał, że ledwo wróciłam do pokoju... A po za tym... - przybrała poważną minę. – A poza tym tu chodzi a twoje życie...

- Bredzisz! – oczy Patricka zrobiły się jak spodki i zaświeciły złotym blaskiem, jakby rozpałił się w nich płomień. Przez ciało Virgi przeszedł dreszcz. Wzrok wbiła w ciemny dom pani Hadgens. – Ktoś chce mnie zabić? Dlaczego? – chłopak wciąż niedowierzał.

- Miesiąc temu, gdy ojciec znalazł ciebie na Wilde Rose, w głowach mieszkańców Woodston obudziły się demony. Obwiniają ciebie...

- Demony? – oburzył się – Dom wariatów. Po co oni mają na mnie polować? I jeszcze moja mama jest w to zamieszana? Nieprawdopodobne. Jestem normalnym chłopakiem... Jadę do domu .

- Ciii – syknęła Virgi. – Patrz! Teraz mi wierzysz?

Na podwórku pojawili się mężczyźni. Ich cienie przesuwwały się w stronę Firwood. Każdy na plecach miał strzelbę – nawet z daleka niebyło, co do tego wątpliwości.

- Działają według planu – Virgi spojrzała na zegarek. Była dwudziesta druga pięćdziesiąt siedem . – Musze mieć pewność, że nie idą na Wild Rose...

Oslupiały Patrick przyglądał się długim ceniom zmierzającym w stronę lasu.

Westchnął i schował twarz w dłoniach. „ Czy Virgi mówi prawdę? – zastanawiał się. – To pomyłka! – chciał krzyknąć. Poczucie zagrożenia odebrało mu jednak

głos. Przyglądał się jak Virgi energicznie zwija karimatę i pakuje do plecaka. – Co dalej?”

- Zbieraj się – rozkazała. – Mamy mało czasu, musimy dojechać do starej chaty drwali. Tam się ukryjemy i przeczekamy najgorsze.

- Najgorsze? Co?

- Pólnoc.

Pprzed pracą Blake Horn wstąpił do sąsiadki. Matka Patricka nerwowo zaciskała rękę.

- Bądźcie ostrożni, błagam – drżały jej wargi. – Nie zróbcie mu krzywdy. Tylko on mi pozostał. Powinien przyjechać o dziesiątej.

- Zadzwoń do niego.

- Zginęła mu komórka, nie kupił nowej...Dlaczego go niema?

- Wyczuł, że coś się kroi. Jego ojciec też miał nosa.

- To nieodpowiednia chwila na takie teksty... - odwróciła się do Horna. – Patrickowi nie może się stać krzywda! Nie może!

- Będzie dobrze...- uśmiechną się. – To fachowcy.

Klara Windergraff miała zaufanie do Horna, znała go od dziecka, ale tym razem obawiała się najgorszego. Jeden nieopatrzny ruch...

- U Virginii wszystko w porządku?

- Nocuje u Sally Marshall, uczą się.

- Przynajmniej ona jest bezpieczna – odetchnęła.

Inspektor dojechał szybko do Firewood, mimo, że księżyc świecił w oczy. „ Jeszcze pół kilometra piechota i będę na miejscu” – poprawiła pasek od flintu. Strzelba uwierała go w plecy.

Szałas drwali dawała poczucie bezpieczeństwa. Zanim Virgi zasnęła, w najdrobniejszych szczegółach opowiedział Patrickowi, co działo się po jego wyjeździe. Nie wierzył, dyskutowali, nawet się pokłócili. Zmęczenie i emocje dały znać o sobie.

Kiedy Virgi otworzyła oczy i świecąc po chatce latarką, zorientowała się, że jest sama, była bliska płaczu. Pomacała leżący obok śpiwór, jakby w nadziei, że Patrick ukrywa się gdzieś pod nim. „ Jeszcze ciepły – odkrycie dodało dziewczynie energii. – Niedawno wstał”. Wyszła przed domek. Było jak w dzień. „Chyba nigdy nie widziałam tak jasnego księżyca – spojrzał na zegarek. - Dwudziesta trzecia czterdzieści siedem”. – Rozejrzała się dokoła. Po chłopaku nie było śladu.

- Patrick! – zawołała.

- Patrick! – odpowiedziało echo.

Biegła w stronę Wild Rose. „ jeśli to prawda, co mówili ludzie, tam go znajdę” – pomyślała. Przeskakiwała przez wystające z ziemi korzenie, odgarniała gałęzie,

nie zdając sobie sprawy, ile ma już za sobą kilometrów. Serce waliło jej jak młot. Oparła się o sosnę. Wtedy usłyszała straszny głos

Przerażliwe wycie zerwało do lotu Śpiące w konarach ptaki.

Czterech mężczyzn rozstawionych co kilkaset metrów w zaroślach Wild Rose, jak na Komedę chwyciło za dubeltówki rzeźbionymi kolbami. Żaden ruch nie umknął ich uwadze. Byli gotowi do strzału. Tej nocy polowali na grubego zwierza.

Krzaki stawały się coraz zatrze. Virginia miała wrażenie, że w dołach widzi żółty sztormiak Patricka. Świeciła latarka, mała żarówka nie przebijała się jednak przez blask księżyca.

- muszę uratować Patricka – powtarzała, biegnąc w stronę migoczącej w zaroślach kurtki.

Wydawało się jej, że jest już-tuż, gdy noga zaplątała jej się w korzenie i upadła. Nie mogła się oswobodzić. Zza drzew z wyciągniętą do księżyca głową wyszło zwierzę z ognistymi oczami. Virgi zamarła. Potwór wył! Przerażliwie.

Złowróżbnie.

- Patrick? – Virgi przeżegnała się i zamknęła oczy.

Zwierze odeszło. Virgi w reście uwolniła nogę i natychmiast ruszyła pędem na poszukiwanie Patricka. Gałęzie biły w twarz, pot zalewał oczy...Może, dlatego nie spostrzegła, że wbiegła na Wild Rose...

Z trzech stron spośród zarośli przyglądał się Virgi trzy pary świecących ogniem oczu. „ To już koniec” – pomyślała.

- nie strzelać! – rozpoznała głos ojca. – To moja córka! – trzy pary świecących oczu jakby nieco przygasły.

- Horn – Virgi usłyszała chropowaty niski głos dochodzący z prawej strony. – Zabieraj smarkule do domu, poradzimy sobie bez ciebie.

- Niech ta mała znika – głos idący z zarośli na wprost Wirginii, dzwoniła jak metal. _ następna okazja trafi się za dwadzieścia lat...

-Virginio, chodź do mnie!

- Ani myślę – krzyknęła.

- nie pozwolę, żebyście zabili Patricka! On nie jest potworem! Widziałam...- nie dokończyła. Cos ze straszna siła pchnęło ją do przodu. Uderzyła głową w kamień. Jeszcze usłyszała cztery strzały z czterech stron polany. Wyszepiała „ Patrick” i straciła przytomność.

Okno odsłoniła kobieta z rudymi jak miedz włosami.

- Dzień dobry, panno Horn – przywitała Wirginie piskliwym głosikiem. – Nazywam się Norma Littlebell i jestem pielęgniarka na tym oddziale. Mam nadzieję, że panna się wyspała?

- Co ja tu robię?

- Przywiózł pannę tatuś – przysunęła stolik ze śniadaniem. – W nocy lunatykowałeś i spadłeś ze schodów. Mama pannę zabrała, zaordynowała leki. Nic poważnego. Czekają, aż panna się obudzi. Zawołać? – zaproponowała, a Virginia kiwnęła głową.

P chwili do Sali weszli rodzice i Patrick.

- Napędziłaś mi strachu – zaczął ojciec przyjaznym tonem.

- Ale masz śliwę – zaśmiał się Patrick. – Muszę zrobić zdjęcie.

- Nie męcz jej - wtrąciła mama. – Ma wstrząśnienie mózgu. – Posiedzę z Virgi – poprosił Patrick.

Gdy byli już tylko we dwoje dziewczyna zapytała:

- Co z potworem?

- Daj spokój, to ciebie nie dotyczy.

- Jak to nie? Wszystko, co, dotyczy ciebie, jest dla mnie ważne.

- Coś bredziłaś o wilkołaku, który poluje na lunatyków z jasnobrązowymi oczami. Że leśnie potwory od wieków zwalczą z ludźmi o złotych tęczęwkach. Taka jest legenda – mówił poważnie. – Ja wprowadzę lunatykuję podczas pełni, ale żeby zaraz mieli mnie zabić? – Patrick spojrzał na Virgi i głośno się roześmiał. Ta śliwa cały czas rośnie!

- Naprawdę? Podaj lusterko – Virginia przyjrzała się ogromnemu siniakowi na czole. Opuściła lusterko nieco niżej i...zaniemówiła.

Jej oczy świeciły. Złota poświata.

